

Błazen

Opowiadanie osadzone w otwartym uniwersum Metro 2033 autorstwa Dmitryja Glukhovskiego.

Gdy w twoim kierunku biegnie płaczące dziecko nie widzisz w nim zagrożenia, nie szykujesz się do walki. Budzi się w tobie coś na wzór człowieczeństwa, które niemal zanikło przez lata walki ze swoimi braćmi, ciągłym przebywaniu pod ziemią i wszechogarniającą ciemnością. Twój pierwszy odruch to chęć przytulenia malca i zapewnienie go, że jest bezpieczne, nawet jeśli byłoby to kłamstwo, a obecnie zawsze nim jest.

Zapominasz o latach ciężkich treningów i wyrzeczeń, o życiu w strachu, które nauczyło cię nieufności i ciągłej ostrożności, dzięki której mogłeś przeżyć kolejny dzień. Zamiast wyuczonych nawyków i instynktu ofiary, bierze nad tobą górę naiwność, która tak często towarzyszyła ludziom przed kataklizmem. Biegiesz w stronę dziecka, by wyjść mu naprzeciw i szybciej móc je pocieszyć. W takiej chwili chcesz tylko powstrzymać łzy malca i wywołać uśmiech na jego czerwonej i zapłakanej twarzyczce. Ale pozory są zgubne, to co widzisz jest iluzją, a współczucie nie ma prawa bytu.

Schowaliśmy broń - nie chcieliśmy przestraszyć chłopca, który i tak wiele już przeszedł. Sam widok świata po kataklizmie potrafi przestraszyć dorosłego zaprawionego w boju człowieka. Zburzone kamienice i porzucone domy dobitnie potwierdzały, że tamten świat odszedł bezpowrotnie. Większość budynków porośnięta była brązowym i uschniętym bluszczem, który tylko czekał na ofiarę. Zmutowana roślina niczym rosiczka pochwytywała swój przyszły posiłek. Wielu chowało się w jej cieniu znajdując kryjówkę do końca swych dni. Na szerokości całej drogi wały się zardzewiałe samochody w panice porzucone przez ludzi, którzy musieli chronić się w bezpiecznych podziemiach. Kiedyś służące jako źródło transportu, dziś z powybijanymi szybami, splądrowane i zepsute służyły tylko jako kryjówka dla zdesperowanych ocalałych. Most, po którym niegdyś chodzili rodzice z dziećmi, by zobaczyć zwierzęta w zoo, teraz nie istniał. Całkowicie zawalony, tworzył swego rodzaju tamę na Odrze. Opole, kiedyś miasto pełne ludzi, głośnie i bawiące się na najróżniejszych festiwalach, dziś wymarłe. Teraz na każdym kroku przypominające nam o wszechobecnym zagrożeniu i śmierci, o końcu spokojnych czasów i ciągłej walce o przetrwanie. A wszystko to dookoła pokryte było warstwą popiołu - śniegiem nowego świata. Nieludzkie ślady na popiele potwierdzały, że nie jesteśmy już gatunkiem dominującym, że nie jesteśmy sami. Gdziekolwiek dało się jeszcze zobaczyć zaschniętą krew, czy poznaczone pazurami ściany.

A niebo, kiedyś takie piękne i niebieskie, dziś szare i zamglone dodawało tylko mrocznej atmosfery całemu krajobrazowi tego wymarłego świata.

Chłopiec zwolnił i sięgnął po coś do kieszeni. Spojrzał na nas swoim beznamiętnym wzrokiem. I w tej właśnie chwili minął wyznaczony czas by powstrzymać niepotrzebny rozlew krwi.

Delikatny i cichy dźwięk dzwoneczków niesiony przez wiatr dotarł do naszych uszu. Rozglądaliśmy się nerwowo szukając źródła dźwięku, zapominając o chłopcu, co było naszym błędem. Broń wyciągnęliśmy niemal od razu, ale jednak za późno. Chłopiec rzucił się w naszym kierunku, w rękę trzymając mały scyzoryk. Jak opętany machał i ciął nim wszystko i wszystkich. Nowy był najbliżej niego i nim zdołał zareagować padł na kolana z nieobecny wzrokiem. Trzęsącymi dłońmi starał się przytrzymać wypadające z rozciętego brzucha wnętrzności. Patrzyliśmy na to oniemieli ze strachu, Stasiek otrząsnął się pierwszy. Wytrącił chłopcu broń z ręki i złapał go mocno za nadgarstek. Dzwoneczki dzwoniły coraz głośniej, a dziecko wyrwawszy dłoń Staśkowi podniosło z ziemi kamień i walnęło nim go w głowę. Nasz kompan pod wpływem uderzenia zachwiał się i zaraz potem dostał kolejny raz kamieniem. Tym razem upadł. Kozioł, który stał za mną odbezpieczył broń i wycelował w malca, który tłukł głową sierżanta Staśka o asfalt. Strzelił, ale nie trafił. Przeze mnie. W ostatniej chwili skierowałem lufę broni w dół. Pocisk zrobił dziurę w asfalcie, a jego kawałki poleciały w naszą stronę. Kozioł coś krzyczał, ale ja widziałem tylko tego chłopca, który skierował wzrok w naszą stronę. Był cały ubrudzony kawałkami mózgu sierżanta, ale nie to mną wstrząsnęło. Chłopiec miał ciemne włosy i zielone oczy, miał może z siedem lat i wyglądał jak Maciek, mój Maciek. Mój syn, który zaginął dziś rano, to właśnie jego szukaliśmy. Nie mogłem uwierzyć, że to on, nie... to nie mógł być on! Mój Maciek nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, nie potrafił nawet zabić szczura, a co dopiero dorosłego człowieka z którym żył siedem lat!

Dźwięk dzwoneczków stał się bardziej gwałtowny i głośniejszy, jakby dołączyły się do niego inne. Malec rzucił się na nas ponownie. Był szybki i zwinny - nim zdążyłem mrugnąć chłopiec skakał już w moim kierunku. Miał rozwarte dłonie, jakby chciał wbić się paznokciami w ciało, a jego wyszczerzone zęby szykowały się by wgrzyźć się w moją szyję. Potem czas jakby zamarł. Chłopiec zawisł w powietrzu i pomału zbliżał się do mnie, ale to nie on przykuł moją uwagę. Za autem chowała się jakaś postać. Mógłbym przysiąc, że patrzyła prosto na mnie z ogromnym uśmiechem na ustach. Jak zahipnotyzowany patrzyłem w jej kierunku, nie przejmując się chłopcem który za chwile mógł mnie zabić albo poważnie zranić. Postać za samochodem podniosła powoli rękę lub coś co miało nią być. Była pokryta jaskrawymi rombami, a na jej końcu widniała biała rękawiczka do której przyczepione były dzwoneczki. Potrząsnęła nią i dzwoneczki zmieniły melodię, na bardziej spokojną, ale i głośniejszą. Dźwięk wyrwał mnie z osłupienia i sprawił, że czas znów zaczął szybko płynąć. Twarz

chłopca była już dokładnie przed moją, jego zielone oczy patrzyły w moje, nie rozpoznał mnie. Paznokcie boleśnie wbiły się w moje ciało, a ja czekałem na to co miało nadejść. Nie broniłem się, bo nie byłbym w stanie skrzywdzić swojego syna. Zamknąłem oczy, wspominając te miłe chwile jakie razem spędziliśmy.

Huk wystrzału sprawił, że na chwilę ogłuchłem. Maciek zwałił się na ziemię z krwawą dziurą na środku czoła. Padłem na kolana i wziąłem go w objęcia. Płakałem, a jego krew plamiła mój skafander. Tulilem go jak najmocniej, jakbym tym prostym gestem mógł sprawić, że życie z niego nie ucieknie. Potem poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem Kozła. Na jego twarzy malowało się współczucie. Strzepnąłem jego dłoń i wstałem. Byłem zły i wściekły, w końcu to on zabił mojego syna. Nie rozumiałem, że zrobił to by mnie uratować. Ruszyłem w jego kierunku, a z każdym moim krokiem on robił jeden do tyłu. Ręce podniósł w poddańczym geście i starał się mnie uspokoić. Walnąłem go pięścią w twarz, a potem jeszcze raz. Z każdym ciosem pozostawało we mnie mniej złości aż w końcu całkowicie opadłem z sił. Kozioł podniósł się z wielkim trudem i lekko kulejąc podszedł do mnie. Poklepał mnie po plecach i mówił coś, że powinniśmy się zbierać, że robi się ciemno. Nie słuchałem, schowałem twarz w dłoniach i płakałem. Dopiero uderzenie w twarz pozwoliło mi się jako tako zebrać w sobie i wstać. Nie chciałem zostawiać Maćka na pastwę mutantów, odwróciłem się w jego stronę, a to co zobaczyłem wstrząsnęło mną do głębi. Bez zastanowienia popędziłem w stronę syna.

Goniłem odchodzącą postać, która na rękach niosła mojego syna, a z każdym jej krokiem rozbrzmiewały dzwoneczki. Krzyczałem za nią, ale nie reagowała, jakby w ogóle mnie nie słyszała. Odwróciła się dopiero gdy dotknąłem jej ramienia. Spojrzała na mnie swoimi zielono-piwnymi oczami, które odznaczały się na jej białej twarzy. Czerwoną szminką wymalowany miała uśmiech niczym Joker, a oczy podkreślone czarną obwódką. W miejscu nosa ziała ogromna czerwona dziura. Postać przechyliła głowę, a wraz z tym gestem zadzwoniły dzwoneczki. Obdarzyła mnie zdziwionym spojrzeniem, trzymając cały czas na rękach mojego synka. Wyglądała niemal jak człowiek nie licząc trupio bladej cery oraz dziwnych narośli wyrastających z jej głowy, które przypominały czapkę błazna z dzwoneczkami. A wszystko to wraz ze strojem, a może nawet skórą było pokryte wzorem w jaskrawe rąby.

Strzał z pistoletu, który trafił potwora w rękę sprawił, że wypuścił on chłopca, który z głuchym łoskotem upadł na ziemię. Nieproporcjonalnie długie ręce wlekły się za potworem po ziemi gdy uciekł. Chciałem powstrzymać mutantą, ale udało mi się jedynie złapać go za kawałek luźnej jaskrawej skóry. Ta rozerwała się uwalniając go i pokazując blade kawałek jego ciała. Mutant uciekł, a Kozioł biegł jeszcze za nim przez chwilę. Ja podniosłem syna z ziemi, a gdy się po niego schyliłem zobaczyłem coś jeszcze. Na ziemi leżał mały prostokątny przedmiot, który widocznie wypadł mutantowi, gdy został trafiony. Kozioł zdyszany po

nieudanej pogoni za potworem pomógł mi nieść syna. Zaczęliśmy iść w drogę powrotną, a dźwięk dzwoneczku pobrzmiwał w naszych umysłach jeszcze długi czas.

Trzydziesty dzień od dnia katastrofy, godzina dwunasta czterdzieści pięć. Stopień natężenia promiennego: stanowczo powyżej normy. Udało mi się schronić w opuszczonej piwnicy mojego dobrego kolegi, którego odwiedziłem po powrocie do Opola. Mimo długiego czekania i ogromnej nadziei nie udało mi się go spotkać po tej tragedii. Można powiedzieć, że przepadł tak jak cały dotychczasowy świat. Chciałbym powiedzieć coś więcej, ale żadne dane nie są mi znane, niestety. Choć jestem niemal pewien, że niedługo wszystko się wyjaśni. Znajdą nas, ocalałych i zabiorą w bezpieczne miejsce, bo przecież muszą nas uratować, prawda?

Czterdziesty dzień od dnia katastrofy, godzina dziewiętnasta trzydzieści. Promieniowanie? Nadal zabójcze. Powietrze jest niemal gęste, a oddech sprawia mi coraz więcej trudności. Pomoc jeszcze się nie zjawiała, ale nadal czekam. Kilka dni temu wyszedłem z piwnicy, ale niemal od razu do niej wróciłem. To co pamiętałem z poprzednich lat już nie istniało. Zamknięty w czterech ścianach czułem się bezpieczniej. Może też dlatego, że wtedy jeszcze nie całkowicie zdałem sobie sprawę z tego co się wydarzyło? Teraz w każdym razie podróżuję. Dzięki mojemu dobremu koledze, który był nurkiem mam na sobie coś w rodzaju kombinezonu czy skafandra. Zużyłem już jedną butlę tlenową, ale cały czas pozostają mi jeszcze dwie. Mam zamiar znaleźć kogoś kto nam pomorze, wybawi nas i uratuje od tego piekła jakim stała się Ziemia. Choć najpierw znajdę swoich kompanów. Czekam na długą drogę, ale w wymarłym świecie nic nie powinno mi w niej przeszkodzić, czyż nie?

Dzień bodajże czterdziesty piąty albo pięćdziesiąty. Godzina - coś koło południa. Bateria w moim zegarku wyczerpała się kilka dni temu. Ale to bez różnicy, czas i tak nie ma znaczenia. Dwa dni temu dotarłem do cyrku, mojego domu. Otóż tak - jestem cyrkowcem, tak zwanym klaunem albo i błaznem. Muszę przyznać, że by tu dotrzeć musiałem pokonać swój strach przed wodą. Wyspa Bolko, na której mieliśmy odbyć swój występ dzień po kataklizmie, była niemal taka jaką ją zapamiętałem. Nie licząc nieznanymi mi gatunków

roślin, ale one mogły tam być cały czas. To zwierzęta, które uciekły z pobliskiego zoo stanowiły największe zagrożenie. Można powiedzieć, że stały się jakby inne. Większe, bardziej krwiożercze - nawet zwykłe stado papug stało się dla mnie przeszkodą przed którą musiałem się ukrywać cały dzień w pobliskich ruinach restauracji. A gdy uciekły... tak, dopiero wtedy mogłem pognać do polanki, na której rozbity był nasz cyrkowy namiot.

Dzień sześć... ech czy to ważne? Godzina? Nieistotna. Nic już nie ma sensu. Zostaliśmy sami, nikt nam nie pomoże! Natura obróciła się przeciwko nam, chce nas zabić bardziej niż kiedykolwiek. Ruda, dziewczyna która w naszym cyrku była akrobatką, dziś jest już tylko zimnym trupem, zjadanym przez muchy czy robaki. Ale przecież ona nigdy nikomu nie zrobiła nic złego! Zawsze żyła w zgodzie z innymi! Pytam się czym zawiniła, że spotkała ją taki los? Dlaczego musimy płacić za grzechy innych? Dlaczego wszyscy się od nas odwrócili, czemu tak po prostu wszystko straciło sens? Zostałem sam, w ogromnym namiocie cyrkowym. Sam...

Wczoraj wieczór zjadłem ostatnią puszkę zabraną z piwnicy mojego kolegi. Nigdy nie sądziłem, że głód może być tak okropnym uczuciem. Od tygodni nie mam z kim rozmawiać. Mam wrażenie że bestie są coraz bliżej. I te cienie. Tak, cienie są najgorsze. Nie wiem jak mam się ich pozbyć, szeptają do mnie dzień i noc. Nigdy nie chcą zamilknąć. One też są głodne, tak jak bestie przed namiotem. Muszę je ignorować. Występ, tak teraz to jest najważniejsze. Przygotowuję się do niego od wielu dni. Ludzie wykupili wszystkie bilety, czyż to nie wspaniałe? Będę sławny i bogaty, tylko, że teraz jestem głodny. A nikt nie przyniósł mi nic do jedzenia tylko dziwne złote krążki, które są twarde jak kamień. Nimi się nie najem, a przecież nie mogę wystąpić głodny, to by popsuło cały występ! Może jednak Ruda jest smaczna, tak jak mówią cienie?

Hih, dziś w końcu znalazłem przyjaciela. Jest na każdym moim występie. Hih, nigdy nie schodzi z widowni. Nazywa się Bartek i mimo młodego wieku podziwia mnie. Chce zostać taki jak ja! Jutro poszukam mu kolegów by oni też mogli podziwiać moje występy i słuchać moich dzwoneczków. Hih cienie miały rację, już nie jestem taki samotny.

Dzieci kochają występować. Od niedawna występujemy razem, widownia jest zachwycona. Nie, nie są zbyt młode na występy, kochają je. Jakbym mógł im zabronić? Tylko, że nie umieją zbyt dobrze chodzić po linie... ale to nic. Mam dużo kolegów, a ci którym nie udało się na linie zawsze potem obserwują nasze występy. Hihi, jutro idziemy razem pozwiedzać okolicę i poszukać nowych przyjaciół. Pamiętajcie dzieci zawsze należy się słuchać cieni, bo cienie zawsze mają rację, cienie zawsze mają rację. Hihi, cienie są wszędzie.

Dzień, nie... nie wiem ile czasu minęło, ale na pewno bardzo dużo. Nie wiem nawet ile mi zostało. Czuje że powoli tracę nad sobą kontrolę, Nie raz przez miesiące budzę się w nocy ani razu nie zastając dnia. Czy to dlatego, że słońca już nie ma? Ech, nieważne, ważniejsze są słowa, które wypowiedziałem w stanie nieświadomości i to co zastałem w namiocie. Nie wiem jaki potwór to zrobił ale... hihhi... cienie mówią, że muszę jeść, na szczęście dzieci nie muszą. Za to są tak samo smaczne jak Ruda. Hihi... Nie wiem czy jeszcze tego słuchasz, czy jesteś w stanie mi pomóc. Ale kimkolwiek jesteś, kobietą czy mężczyzną, dzieckiem czy starcem, proszę uratuj mnie...

Starszy mężczyzna jeszcze kilka minut wsłuchiwał się w monotonne trzaski, które z ledwością można było uznać za słowa, bardziej za brednie szaleńca. Nie wiedział kim jest ten człowiek z dyktafonu, ale był on jego jedynym tropem. Wskazówką do miejsca, gdzie może przebywać oprawca jego Maćka i innych dzieci. Maluchów, które za cenę życia uciekały z bezpiecznego miejsca jakim była ich mała społeczność zebrana w centrum handlowym w Solarisie. Nie wystarczyło nawet zwiększenie straży, dzieci są małe i sprytne, zawsze znajdują jakąś kryjówkę i prześlizgną się tam gdzie nikt by nawet nie uznał tego za możliwe. Nikt nie wiedział dlaczego, rodzice opowiadali tylko o cichym dźwięku dzwoneczków, po którym ich dzieci zaczynały się dziwnie zachowywać. Wszyscy myśleli, że były to tylko omamy słuchowe, ale po tym co wydarzyło się na ulicy Jana Kochanowskiego wiedział kto za tym stoi. Tajemniczy mutant o wyglądzie błazna. I tak z resztą zaczął go nazywać: Błazen. Postanowił, że go odnajdzie i zemści się. Za swojego syna, który gdyby nie Błazen nadal by żył. Za dzieci innych mieszkańców schronu, by już nigdy żaden maluch nie został porwany.

Spojrzał na swój skafander, wzmocniony blachą i pomalowany na szaro. Spokojnie można by było uznać go za swego rodzaju zbroję. Z ciężkim westchnieniem wstał i zaczął ubierać skafander. Był ciężki i nieporęczny, ale zapewniał dodatkową ochronę przed pazurami, kłami mutantów i promieniowaniem. A w jego fachu było to bardzo przydatne.

Przyszedł po niego jeden z jego ludzi. Nie raczył się nawet przywitać, ale Sroka już taki był. Zawsze uważał, że nie należy marnować sił na puste słowa, kto wie czy nie będą nam one potrzebne by uciekać? A w czasie ucieczki każdy martwi się tylko o siebie. Szli w milczeniu mijając pomieszczenia zatłoczone ludźmi. Dało się słyszeć płacz i krzyki. Panował tu ciągły hałas, nigdy nie było cicho, nigdy też nie dało się pobyć chwili sam na sam ze sobą. Windy, które niegdyś jeździły w górę i w dół, teraz stały nieruchomo wykorzystywane jako składziki, a obok każdego z nich stał jeden zbrojny by nikt nie pokusił się o kradzież tego co nam zostało. A było tego już bardzo mało. W pomieszczeniach panował wieczny półmrok - przez blachy, przymocowane do każdego okna, które tworzyły zarazem warstwę ochronną, ale również ograniczały dostęp światła do Solarisu. Stworzenie tej lichej, ale skutecznej fortecy zajęło im kilka lat. Do pracy potrzebna była każda para rąk, dlatego na początku przyjmowali wszystkich ocalałych jakich udało im się znaleźć. Dopiero po skończeniu obudowania fortecy zamknęli drzwi wzmocnione dużo mocniej niż szyby. Gdy Surykatka zobaczył ten budynek po raz pierwszy pomyślał, że jeśli ma mu się udać przeżyć to właśnie tu. Dużo czasu zajęło nim natrafił na zbrojną grupę wychodzącą zza metalowych wrót. Można było powiedzieć że był to najpiękniejszy widok jaki kiedykolwiek dane mu było zobaczyć. Uważał ich wtedy za swego rodzaju wybawicieli. Był zbyt zafascynowany by pomyśleć nad tym co robi, a zrobił bardzo głupią rzecz. Gdy tylko ich zobaczył pobiegł w ich stronę. Nie interesowały go krzyki, że ma się zatrzymać ani lufy karabinów skierowane w jego stronę. Surykatka uśmiechnął się na jedno z lepszych wspomnień jakie posiadał. Potem była już tylko cela, a raczej małe pomieszczenie bez jakiegokolwiek dostępu do światła. Spędził w niej może kilka dni zanim wzięto go na przesłuchanie. Miał szczęście, że miał doświadczenie wojskowe, które pomogło mu zdać test - inaczej pozbyliby się go, tak jak wielu przed nim. W Solarisie panowały surowe zasady, na nowo władzę przejął dyktator, a ludzie podzielili się na panów i niewolników. Ale Surykatka by przeżyć musiał się przystosować, tak jak każdy. Choć było to jedno z lepszych miejsc, jakie dane było mu spotkać po kataklizmie, to wiedział że takie długo nie pozostanie. Budynek był cały na powierzchni, a liche blachy nie stanowiły dostatecznie dobrej ochrony przed promieniowaniem. Ludzie zaczęli chorować już dawno, a z każdym dniem jest ich coraz więcej. Jedni mają dziwne zmiany skórne, inni znów kaszlą krwią lub popadają w obłęd. Kwestią czasu jest tylko kiedy to się stanie.

Zeszli na sam dół do schronu pod kinem, w którym to schronili się ludzie gdy to wszystko się zaczęło. Było to w dniu festiwalu kawy, więc większość z ocalałych była

smakoszami czy fanami tego napoju. Razem stworzyli społeczność handlującą przede wszystkim kawą, a nazwali się Baristami. Tam czekała na niego reszta jego grupy. Było ich razem sześciu, każdy w okutym blachą skafandrze i karabinem na plecach. Kilkoro miało dodatkowo plecaki zaopatrzone w pułapki, które musieli porozstawiać. Na tym polegała ich praca, która pozwalała im przeżyć w Solarisie kilka dni dłużej. Byli Oczyszczaczami a to oznaczało, że musieli oczyszczać ich tereny z mutantów tam grasujących. Była to syzyfowa praca bo na każdego zabitego mutantą powracało kilkoro nowych. Ale jednak skuteczna bo ich forteca nadal stała, a oni wciąż żyli. Odbierając broń i zapas amunicji ruszyli do wyjścia.

Surykatka źle się czuł z myślą, że za niedługo będzie musiał opuścić grupę i pozostawić ich na pastwę gniewu przełożonego, choć jeśli się zastanowić nie to było najgorsze. Bał się, że gdy ich zostawi nikt nie zauważy jak będzie zbliżał się do nich jakiś dziki bies czy inny mutant. Jego zadaniem była obserwacja terenu pod kątem niebezpieczeństwa, a przez takie zaniedbanie mogli zginąć. Długo pracował na ich zaufanie i w końcu gdy mu się udało musiał ich zawieść i pozostawić. Miał tylko nadzieję, że nie będą go szukać, czym mogliby tylko zwiększyć swoją szansę na bezsensowną śmierć. Ale obiecał sobie, że zemści się na Błaźnie i nigdy więcej nie pozwoli mu zabrać żadnego dziecka ani odebrać mu rozumu. Miał zamiar dotrzymać obietnicy.

Jak zawsze ich obowiązkom towarzyszyła błoga cisza, której na próżno szukać w dusznym centrum handlowym. Porozumiewali się na migi, dopiero w ostateczności przekazywali sobie zadania słownie. Wśród Oczyszczaczy panowała zasada milczenia na powierzchni, gdyż każdy dźwięk mógł ponieść się echem setki mil dalej i zaalarmować o ich obecności jakiegoś mutantą. Na wyznaczony teren szli w ciszy, cały czas nerwowo spoglądając za siebie i trzymając w dłoniach odbezpieczoną broń. Choć nie robili tego pierwszy raz i przynajmniej trzy razy w tygodniu wychodzili na powierzchnię, to zawsze się bali. Do tego zadania i nowego wyglądu świata nie dało się w żaden sposób przyzwycząić. Surykatka był dodatkowo rozkojarzony przez czarne myśli, które cały czas go nachodziły. Wahał się czy aby nie zostać, przecież mógł powiedzieć wszystko co wie innym, a potem wraz z większą grupą udać się na poszukiwania, miałby wtedy pewność, że jego ludzie dotrą bezpiecznie do schronu, że przez jego nieobecność nie zginą. Był już niemal gotów by odpuścić, gdy przed oczami stanęła mu zapłakana twarz żony, gdy przekazał jej informację o śmierci syna. Wypominała mu jego nieczułość, ale Surykatka swoje emocje zawsze skrywał pod maską obojętności, nauczył się tego gdy jeszcze pracował w prawdziwym wojsku, gdzie okazywanie emocji było słabością. Wrzeszczała, że się na nim zawiodła, że na pewno nie był całkiem bezradny i mógł coś zrobić. Krzyczała i płakała cały czas, a potem odeszła. Nie wiedział gdzie, nie wiedział z kim, po prostu znikła. Wiedział, że powinien odbyć żałobę po synku. Może po żonie również? Ale nie zdecydował się na ten krok, wołał wrócić do pracy i

jak najmniej myśleć o tamtym wydarzeniu, wolał planować zemstę która pozwoliła mu przeżyć te kilka dni bezczynności.

Gdy dotarli na miejsce postawionych wcześniej pułapek jego grupa rozeszła się do wyznaczonych zadań. Dwójka, podobnych mu wiekiem mężczyzn, wraz z nim skierowała się do punktów obserwacyjnych skąd miała obserwować teren. To na nich spoczywał obowiązek pilnowania bezpieczeństwa grupy. Wypatrywali wszelkich podejrzanych obiektów gotowi krzyknąć i strzelać gdy tylko zajdzie taka potrzeba. Była to trudna praca, która wymagała opanowania i dobrego wzroku. Reszta jego ludzi rozbierała pułapki i odciągała ciała martwych potworów, które dały się na nie złapać. Z każdym dniem było ich coraz mniej, stawały się inteligentniejsze, a to nie wróżyło dobrze Baristom. Gdy zaczęli na nowo rozstawiać pułapki, Surykatka podjął decyzję, której miał nadzieję nigdy nie żałować. Spojrzał jeszcze raz na nerwowo pracujących Oczyszczaczy i sam najciszej jak potrafił zszedł z punktu obserwacyjnego i uważając, by nie zostać zauważonym oddalił się. Gdy był dostatecznie daleko zaczął biec od ściany do ściany, przystając przy ich końcach na trzy uderzenia serca. Cały czas dręczyły go wyrzuty sumienia, których starał się pozbyć.

Zatrzymał się dopiero na brzegu Odry. Odetchnął chwilę i spojrzał przed siebie. Najszybsza droga prowadząca na wyspę Bolko, gdzie jak miał nadzieję znajdzie Błazna, prowadziła przez most, z którego dziś zostały same kamienie próbujące tamować nurt Odry. Nie był złym pływakiem, ale dobrym też nie. Zostawała mu jedynie nadzieja, matka głupich. Odbezpieczył broń i cały czas celując w odległą wyspę zrobił pierwszy krok. Wyspa była obrosnięta trawą i chaszczami, od dnia katastrofy nikt się tam nie zbliżał, a gdy już jakiś szaleniec pokusił się by udowodnić swą odwagę nigdy już nie wracał. Bał się zwierząt, które na skutek promieniowania i wirusa zmutowały się, bał się, że nie dojdzie do cyrku - że może go tam nawet nie być. Mimo tych obaw szedł naprzód. W połowie drogi był już cały mokry i obolały po niemal ciągłych upadkach na kamienie. Karabin już dawno zawiesił na plecach, a w dłoniach stracił czucie. Miał wrażenie że wcale nie przybliżył się do celu, że mimo całego tego wysiłku jest w takiej samej odległości od wyspy.

Dzwoneczki. To one wyrwały go z otępienia i sprawiły że na nowo odzyskał energię. Gdy dźwięk się powtórzył, a Surykatka był pewien, że to nie omamy, zaczął biec. Mokre kamienie były śliskie i zdradzieckie, a przez pośpiech dodatkowo niebezpieczne. Ale nie obchodziło go nic prócz dotarcia do sprawcy hałasu. Kostka wykręciła mu się pod nienaturalnym kątem i runął do wody. Starał się jeszcze nabrać powietrza, co za skutkowało jedynie zachluśnięciem się wodą. Czuł, że się topi, że ciecz dostaje się do jego płuc, a wartki nurt nie chce go wypuścić, tylko ciągnie coraz głębiej na dno.

Nie czuł nóg, ale nie czuł również wody i mógł spokojnie oddychać. A to znaczyło, że żył. Wiedział, że coś wielkiego i ciężkiego przygniotło jego nogi. Bał się, że zostały one zmiażdżone i już nigdy nie dojdzie do namiotu cyrkowego. Wziął głęboki oddech i postanowił otworzyć oczy, mimo że przerażała go wizja tego, co może zobaczyć. Nagle ciężar zelżał i przeniósł się na klatkę piersiową wyginając blachy skafandra i utrudniając oddech. Od razu potem poczuł nieprzyjemny oddech na swojej twarzy i jak coś mokrego i szorstkiego ją liże. W panice rzucił się do tyłu, ale pozostał w miejscu, bo wciąż, coś go przygniatało. Otworzył oczy, ale zaraz je zamknął i bezgłośnie modlił się, by to co zobaczył nie było prawdą. W tym czasie stwór, który liżał go po twarzy zaczął ocierać się o jego bark. Surykatka nie wytrzymał i starał się odpędzić to coś, co przypominało kota. Stwór posiadał dwa puchate pyski i oba w danej chwili miał otwarte, ukazując przy tym podwójny rząd ostrych i białych kłów. Gdy ponownie uchylił się w stronę Surykatki i polizał go dwoma długimi językami, każdym wychodzącym z osobnego pyszczka, zaczął mruścić i ugniatać jego ciało łapkami jeszcze bardziej niszcząc skafander. Surykatka starał się obolałymi dłońmi odgonić pyski kota, ale było to pozbawione celu, stwór był kilkakrotnie cięższy, silniejszy i szybszy od niego. Szorstkie języki za każdym razem sięgały celu, nie chronionego przez maskę. Gdy po chwili ugniatacia i mrużenia kot nie doczekał się pieszczot ze strony człowieka spojrzął na niego swoimi pomarańczowymi oczyma. Były pełne pogardy i trochę jakby wyrzutów. Dumnym krokiem zszedł z męczycyny i odwrócony do niego tyłem zaczął myć łapę. Jego szary, paskowany i gruby ogon objął się o ziemię z siłą zdolną zabić dzikiego psa, a może i człowieka.

Surykatka dopiero teraz mógł odetchnąć i usiąść. Był cały mokry i poobijany, ale po pobieżnych oględzinach stwierdził, że nie posiada żadnych poważniejszych obrażeń. Wzrokiem poszukał maski, która chroniła go przed promieniowaniem. Za nim po nią poszedł spojrzął jeszcze kątem oka na olbrzymiego kota, by przekonać się, czy jest w bezpiecznej odległości od niego. Jakie było jego zdziwienie, gdy zobaczył jak ogromna bestia niczym mały kociak leżała na plecach odstawiając brzuch. Patrzył na niego swoimi ogromnymi oczami, z wyczekiwaniem. Pyszczyki przechylił w jego stronę i zamiauczał cicho, zdecydowanie na coś czekając. Nawet jeśli puchate futerko stworza, aż prosiło się by zanurzyć w nim dłonie i przytulić ogromnego kota, to Surykatka nie mógł sobie na to pozwolić. Zdecydowanie opóźniłoby to misje, jaką sobie wyznaczył, a nie mógł dłużej zwlekać. Nie chciał, by Błazen pozostawał dłużej na wolności, gnębiąc i porywając niewinne dzieciaki. Odwrócił wzrok od kota i skierował swoje kroki w stronę maski skafandra. Wielka, puchata łapa pacnęła w maskę, przesuwając ją o kilka metrów w chwili gdy po nią sięgał. Pomarańczowe oczy patrzyły na niego z niemym wyzwaniem, a Surykatka podjął się go.

Opadł bez sił, patrząc jak zwycięzca turla się po ziemi, w łapach podrzucając jego maskę. Mimowolnie uśmiech pojawił się na jego ustach. Kociak, którego nazwał Gustaw,

zachowywał się jakby wcale nie znajdowali się w świecie opanowanym przez krwiożercze potwory, a każde dłuższe przebywanie na powierzchni bez ochrony nie równało się ze śmiercią. Polanka, na której byli, wyglądała jak przed katastrofą, można było na niej zapomnieć o zgonach, które były na porządku dziennym u Baristów, o zniszczonych miastach i wszechobecnym pyłe zasłaniającym niebo. Poglaskał po głowie Gustawa, który przed chwilą położył się koło niego. Jego futro było dokładnie takie jak się wydawało: miękkie i puchate. Założył maskę, lekko obślinioną i powyginaną, ale miał nadzieję, że nadal będzie sprawować swoją ochronną funkcję. Odczekał jeszcze chwilę napawając się ciszą i spokojem, przytulony do śpiącego już puszystego stwora. A potem delikatnie zdjął jego głowę ze swoich kolan i uważając, by kot się nie obudził ruszył w dalszą drogę do celu, który sobie obrał. Czuł się źle ponownie uciekając jak tchórz, bez pożegnania. Ale uważał, że tak będzie lepiej. Nagle usłyszał odległy dźwięk dzwoneczka i bez namysłu pognął w jego kierunku.

Gdy starszy żołnierz dotarł na miejsce, dzwoneczki już dawno umilkły. Teren przed ogromnym niebiesko-czerwonym namiotem był taki... normalny. Wszystko ładnie uprzątnięte, patrząc na to można by pomyśleć, że nic złego się nie wydarzyło, że świat nadal jest taki jak przed latami. Całe wrażenie psuł tylko metaliczny zapach i masa małych czarnych muszek latających dookoła. Bojąc się tego, co miał zaraz zobaczyć wkroczył do środka. Wstrząsnęły nim torsje, gdy tylko zobaczył ten nienormalny widok.

Trybuny zapełnione były małymi dziećmi w wieku jego Maćka, kilkoro było starszych, znalazł się może też jeden dorosły. A wokół wszystkich latały małe muszki. Przerażliwie wiele muszek. Siedzieli zwrócenie w stronę sceny, niektórzy mieli złączone dłonie - jakby klaskali, inni na kolanach trzymali stary popcorn. Wszyscy się uśmiechali - albo poprzez wykrzywione usta, albo wymalowane rubinową cieczą uśmiechy. Widok był wręcz przerażający, tak samo jak zapach. Choć to wszystko było niczym w porównaniu ze sceną, na której odbywało się coś w rodzaju przedstawienia. Kilkoro dzieci wykrzywione było w dziwacznych pozach, mających prawdopodobnie imitować występy akrobatów. Po drugiej stronie sześciolatek przywiązany był sznurem do jednokołowego roweru opartego o jakiś słupek. Trochę starsza dziewczynka siedziała na metalowej obręczy, przymocowanej do belki przytrzymującej górę namiotu. Byłby to normalny widok, gdyby nie drut, który utrzymywał ją w wyznaczonej pozie i wbijał się w jej ciało. Dwójka dzieci pochylała się nad ciałem martwego geparda. Jedno z nich trzymało bat, a drugie lekko żarzącą się obręcz, która jeśli dobrze się przyjrzeć, parzyła jego dłoń. Był jeszcze mały chłopczyk na siłę wciśnięty w makabrycznie małego rozmiaru autko. Ktoś kto go tam posadził musiał się

bardzo postarać, gdyż kilka jego kości popękało i wystawało poza ciało. Surykatka starając się nie patrzeć dłużej na tę okrutną scenę, która wyglądała jak zatrzymany kadr z filmu, w którym akurat odbywał się występ cyrkowy, skierował się w stronę kotary. Przeszedł przez kolejną zasłonę z żółto-zielonej kratkowanej tkaniny i trafił na swego rodzaju zaplecze. Tu było jeszcze więcej małych chłopców i dziewczynek, ale ten widok z porównaniu z tamtym nie zrobił na nim większego wrażenia. Kilkoro dziewczynek siedziało przy toaletkach, a dłonie miały ułożone na różnego rodzaju pudrach i kredkach do twarzy. Niektórzy chłopcy do dłoni mieli przywiązane noże, wyglądali jak gdyby mieli zamiar nimi żonglować, drudzy zaś pilnowali słoni, których czas już dawno przeminął. Wstrząśnięty tym co widział tu i na sali szybkim krokiem skierował się w głąb namiotu chcąc to jak najszybciej zakończyć.

Po chwili szybkiego marszu trafił do małego pomieszczenia. Wyglądało trochę jak przebieralnia, było pełne różnego rodzaju strojów i kufrów. Byłaby to najbardziej normalna część namiotu, gdyby nie zgniła już głowa z długimi rudymi włosami leżąca na pomiętej pościeli. Tym razem Surykatka nie wytrzymał i zwymiotował wszystko co zjadł przed wyjściem z Solarisa. Gdy się trochę uspokoił chciał przeszukać pokój, ale usłyszał miarowy dźwięk dzwoneczków i zrezygnował. Znów ogarnęła go chłodna rządza zemsty. Powoli wrócił do żółto-zielonej kotary. Dźwięk był coraz głośniejszy. Surykatka wyjrzał powoli przez zasłonę i zobaczył tego, którego cały czas szukał. Błazen szedł, a raczej przemierzał się w podskokach w stronę sceny, za nim spokojnym krokiem szła dwójka dzieci. Dzwoneczki grały wesołą melodie i jakby hipnotyzowały malców.

Dziewczynka szła zaraz za Błaznem i jako pierwsza weszła po drabinie, za to chłopiec skierował się do drugiej drabiny, tyle że niższej. Dzwoneczki pobrzmiwały coraz bardziej energicznie i przy każdym nowym ruchu dzieci odrobinę zmieniały swoją melodie, tak jak gdyby kierowały poczynaniami ośmiolatków. Mała blondynka weszła powolnym krokiem na linę zawieszoną kilkanaście metrów nad ubitą ziemią. Zrobiła pierwszy krok, a potem następny, w dłoni trzymając długą tyczkę dla równowagi. Surykatka był pewien, że dziewczynce się uda, że przejdzie po cienkiej linii i bezpiecznie zejdzie. Nic bardziej mylnego. Po może trzech krokach blondynka zachwiała się i runęła na dół. Nie krzyczała, a jej twarz wyrażała cały czas te same emocje, a raczej ich brak. Z głuchym łoskotem uderzyła o ziemię, dało się nawet słyszeć odgłos łamanych kości. Tyczka wbiła się metr od jej głowy, ale dziewczynka i tak się nie podniosła. Widownia na której twarzach widniała parodia uśmiechu patrzyła na to przedstawienie, a im dłużej Surykatka się w nią wpatrywał tym większe miał przekonanie że im się to podoba. Błazen nagle podskoczył i klasnął dwa razy, dzwoneczki zabrzmiały, a na ich dźwięk chłopiec, który już wdrapał się na podwyższenie zaczął klaskać. Mutant zaczął grać inną melodie dzwoneczkami i zaniósł dziewczynkę na jedno z pustych miejsc na trybunach. Gdy nie udało mu się ułożyć jej ust w krzywy uśmiech, narysował go jej własną krwią. Wracając na scenę jego długie ręce wlekły się za nim,

tworząc bruzdy w ziemi. Teraz jeszcze jeden dodatkowy widz patrzył na chłopca, który przez ciche dzwonienie powoli złapał za trapez. Oddzielony dźwięk jednego dzwoneczka zaczął grać melodię nie pasującą do reszty. To na jego dźwięk chłopiec zeskoczył z podestu, a gdy trapez rozbijał się dostatecznie, puścił się i wylądował na drugim. Surykatka nie wiedział jak mu się to udało, ale chłopiec bezpiecznie wylądował saltem na platformie po drugiej stronie. Uradowany Błazen zaklaskał i dał chłopcu coś małego. Ten przyjął to bez jakichkolwiek emocji i wraz z grą dzwoneczków zaczął iść w kierunku chowającego się Surykatki. Przeszedł obok niego, nie zaszczycając go nawet przelotnym spojrzeniem, tak jak gdyby nie istniał. Chłopiec skierował się w stronę korytarza i zniknął za jedną z bocznych płacht paskowanego materiału.

Pierwszą myślą Surykatki było pobiec za malcem i zabrać go z tego przerażającego cyrku. Zrezygnował z niej niemal od razu. Najpierw musiał się rozprawić z Błaznem, gdyby tego nie zrobił mógłby on ponownie zahipnotyzować chłopca i przyprowadzić tutaj. Nic by nie zyskał tym aktem dobroci. Szybko pozbędzie się mutanta i wróci po malca. Z tą myślą i pewnością siebie wyszedł zza kratkowanej zasłony. Odbezpieczył broń i wycelował w sylwetkę Błazna wychodzącą już z namiotu. Wystrzelił raz i drugi, ale żaden pocisk nie dotarł do celu, ba żaden nawet nie opuścił lufy karabinu. Surykatka przeklął pod nosem swą głupotę, wcale nie pomyślał, że broń mogła zamoknąć przez jego upadek do wody. Jeszcze raz zwymyślał siebie i pobiegł do wyjścia, by nie zgubić mutanta.

Po chwili wypadł na podwórze, gdzie zobaczył jak o nogi Błazna ociera się nie kto inny jak Gustaw. Ogromny kot mrucał i łaścił się do jaskrawego mutanta. Błazen pochylał się i głaskał olbrzymiego stwora. Wyglądał jak normalny człowiek witający się ze swoim pupilem. Zrobiło mu się żal tego co miał zamiar zrobić ale wiedział, że musi to zrobić. Wyjął nóż zza pasa, on nie mógł go zawieść tak jak poprzednia broń. Podchodził do nich powoli, starając się pozostać niezauważonym. Na szczęście stali do niego tyłem, a głośne mruczenie kota zagłuszało jego kroki. Gdy już podnosił dłoń by zaatakować usłyszał potężny ryk i zamarł. Wszyscy trzej obrócili się w stronę dźwięku który dochodził zza pleców Surykatki. W ich kierunku z rozwartą paszczą biegł ogromny stwór. Nie przypominało to niczego, co wcześniej miał okazję spotkać, ale w obecnych czasach nic już nie powinno go dziwić, czyż nie? Skóra stwora pokryta była śluzem w żółtych barwach. Tylne odnóża pełne były dłuższych włosków, a w miejscu szczęk miał ogromne żuwaczki wyposażone w szczypce. Biegł z zawrotną prędkością i nim Surykatka zdołał odskoczyć, potwór wpił się w jego ramię. Krzyk mimowolnie wydobył się z jego ust, poniósł się echem po całej wyspie, a wystraszone ptaki zerwały się z drzew. Mutant ciągle wbity w ramię mężczyzny szarpał głową na boki, starając się oderwać kawałek ciała. Surykatka wbijał raz po raz nóż w połączenie głowy i tułowia stawonoga. Ale potwór zdawał się niewzruszony, tylko ostrze wyginało się coraz bardziej. Gdy nóż utknął w ciele potwora, mężczyzna zaczął uderzać go wolną dłonią zaciśniętą w

pięść. Każdy dotyk skóry stawonoga palił żywym ogniem, jakby pokryta była kwasem. Nagle coś wielkiego i szarego uderzyło w potwora. Nie dało rady go odczepić od Surykatki, ale choć na chwilę stawonóg zwolnił uścisk żuwaczek, a to pozwoliło mu wyrwać ramię i zatoczyć się kilka kroków do tyłu. Spojrzał w kierunku swojego wybawiciela i z przerażenia wciągnął powietrze. Połowa futra na twarzy kota była spalona, co dodawało mu iście potwornego wyglądu, teraz pasował do nowego świata. Gustaw, nie zrażony poparzoną skórą rzucił się w stronę stawonoga. Surykatka bardzo chciał pomóc, ale nim zrobił kilka kroków padł na ziemię. Nim ogarnęła go ciemność usłyszał jeszcze rozpaczliwe miauczenie.

W namiocie panowała niemal niczym nie zachwiana cisza. Tylko dzwoneczki poprząszone do stroju Błazna grały sobie jedynie znaną melodie. Na scenie kilkoro dzieci bawiło się z Hienami, a inne skakały po trapezach. Jedna dziewczynka nawet chodziła po linie. Wyglądało to niczym występ przed wieloma laty. Błazen oglądał go z nabożną fascynacją i klaskał za każdym razem gdy jakiemuś malcowi udało się poprawnie wykonać akrobację. Nie tylko Błazen oglądał przedstawienie. Trybuny pełne były małych widzów. Pośród nich na honorowym miejscu, najbliższej barierki, siedział starszy mężczyzna. Miał na sobie poniszczony i podziurawiony skafander, w niektórych miejscach obłożony blachą. Na twarzy nie miał maski. Obok niego siedział wielki, szary i puchaty kot o dwóch pyszczkach. Oboje oglądali występ cyrkowy z uśmiechami na zawsze namalowanymi na ich twarzach. Dzwoneczki zmieniły melodię na spokojniejszą, a cały występ zaczął się na nowo.

Koniec